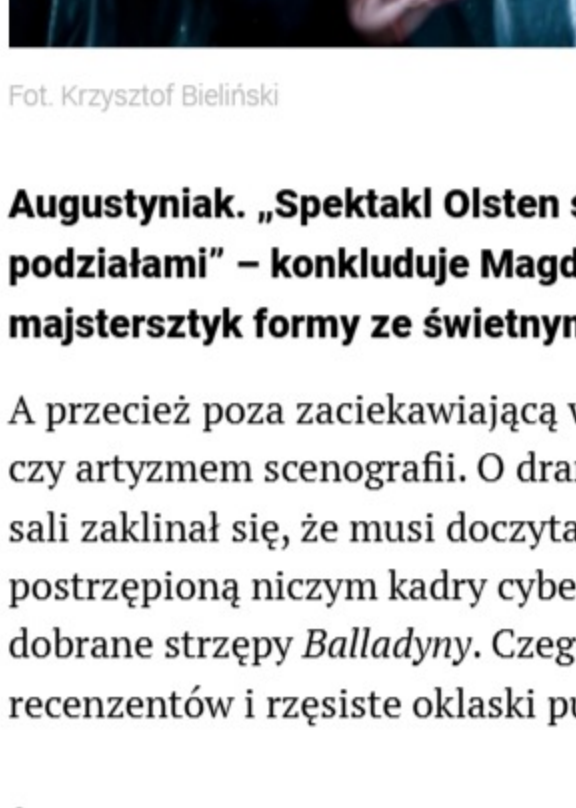
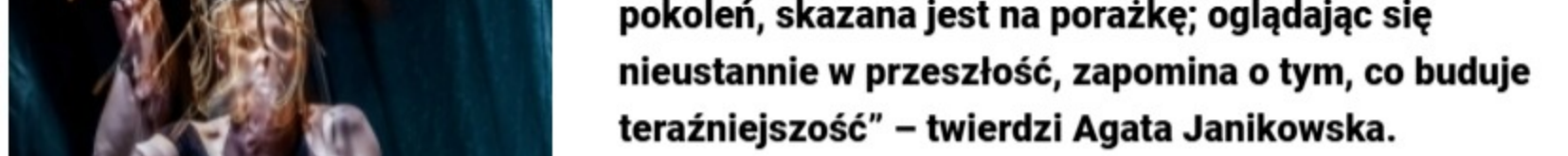


Słowacki na warsztatach terapii zajęciowej

Balladyna, reż. Agnieszka Olsten, Teatr Muzyczny Capitol we Wrocławiu



Fot. Krzysztof Bielniński

Kilka dni po premierze czytam recenzje *Balladyny* zamieszczone na stronie wrocławskiego Capitolu. „Udane role, postaci nieoczywiste” – pisze Grzegorz Chojnowski. „Polska, która wierzy w mistyczną moc pokoleń, skazana jest na porażkę; oglądając się nieustannie w przeszłość, zapomina o tym, co buduje teraźniejszość” – twierdzi Agata Janikowska. „*Balladyna* Olsten jest spektaklem na wskroś nowoczesnym, bezbłędnie zagranym. Napięcia rozpisane na dialogi i piosenki (zwłaszcza pierwsza pieśń *Balladyny* i śpiewny monolog Aliny/Jaskółki) rozkładają się równomiernie” – zachwycą się Karolina Augustyniak. „Spektakl Olsten sprawdza się także jako udana integracja sztuki ponad podziałami” – konkluduje Magda Piekarska. Wreszcie Małgorzata Matuszewska: „to majstersztyk formy ze świetnymi kreacjami aktorskimi”.

A przecież poza zaciekawiącą warstwą muzyczną nie jest to widowisko porwijące rolami czy artystem scenografi. O dramaturgię zdarzeń nie wspomnę – co drugi widz wychodzący z sali zaklinał się, że musi doczytać Słowackiego w domu. Z pewnością oglądaliśmy narrację postrzępioną niczym kadry cyberpunkowego komiksu i słyszeliśmy dość monochromatycznie dobrane strzępy *Balladyny*. Czego zatem nie umiem lub nie rozumiem, że dziwił mnie opinie recenzentów i rzęście okłaski publiczności?

2. Pomogła mi architektura Capitolu i jego publiczność. Myśląc o osobistym dyskomforcie, przyglądałem się bacznie tak zwanym okolicznościom przyrody przed, w trakcie i po. Sporo młodych par – ona z bukietem tulipanów, bo Walentynki, w spódnicy, swetrze i okularach z piosenki Osieckiej, sporadycznie mała czarna, raczej botki lub trzewiki niż szpilki; on – swobodna marynarka w stylu „wieczór po biurowej pracy”, dżinsy. Głośni przed wejściem na salę. Mówiący naraz, jakby tym mówieniem oznajmiali swój byt. Smartfony w defensywie.

Byli także moi rówieśnicy. Nieco pogryzieni przez życie i paskudy wieku. Raczej swetrzaści i bluzkowiczki, ale schłodni, kameralni, wyciszeni. Trochę obok siebie, lecz umówieni w kordialnie witające się gromadki. Nieciekawie fryzury i wierzchnie okrycia. Wygodne bawelny, welny i akryle pod spodem. Często ubrani na cebulę, otuleni szalami, w zgaszonych makijażach. Opowiadali o zakupach. Entuzjasci soldów wyciągali z reklamówek pudełka z butami i szeleszczące folie po bluzkach. Do szatni schodzili bez pośpiechu.

3. Kiedy wieczorem, leciutko przejęci *Balladyną*, staniecie na rogu Piłsudskiego i Świdnickiej, zobaczycie, jak Capitol spina się z Arkadami Wrocławskimi. Budynek teatru i galeria handlowa mają niezwykle podobny odcień licowań. Podobne rytmy światel ulicy otaczają oba gmachy. Rozdzielone nasypem kolejowym przecież zdają się zdumiewająco sobie bliskie. Industrialny puls architektonicznych podziałów. Płaszczyzny wielkich tafl szkla. Ostre rysunek fasad na tle wieczornego nieba. Brosze tramwajów i sygnalizatorów igrają z monumentalnymi fasadami.

W beż i granat teatralnego kolosa wsiąkają przechodnie z Arkad i niedalekiej Renomy, z biurowców PwC i HP, z Pasibusa, Kuchni Marché, Vis-à-vis i knajpek nasypu. Nasyceni fotosami mody i manekinami z witryn pasażu handlowego oraz zapachem kawy w Starbucksie. Fani *Belfra* Żulczyka i *Innej duszy* Orbitowskiego, namiętni oglądacze *Pitbulli*, *Walking Dead* czy *Tabu*. Widownia *Top Model*, ale i *Googleboxu*. Kondotierzy tanich linii lotniczych i wyznawcy ekstremalnego survivalu. Niepoliczalni, wielowątkowi, zafejsowani. Hejterzy i lifestylowcy. Wolontariusze i ksenofoby.

Po raz kolejny zmieniła się skóra świata – napisałby po niemal stu latach Tadeusz Peiper. Radykalnie.

4. Przed dwoma laty *Balladynę* wystawił Wojciech Faruga w Wałbrzychu jako kempowe widowisko o ninfomancie, pożądaniu i emocjonalnych kosztach seksu. Już wtedy dało się słyszeć na widowni, że nadmierne skracanie oryginału Słowackiego, ogalanie go z historiozofii i fantazji wzbudza w tym bajecznym dramacie nadmiar pretensjonalności i odziera z magii dwa światy, realny i fantastyczny, *fashion* bowiem – może poza pracami Rolanda Barthesa – nie jest w dobie popkultury filozofią historii. Na tle polityki *fashion* jest estetyczną wydmuszką celebrytów, a nie kontestacją systemu. Zresztą system znieli każdą estetyczną kontestację – dotacjami, nagrodami, tygodniami mody, wreszcie galeriami *prêt-à-porter*. Odrzućwszy kemp, Agnieszka Olsten poszła w industrial. Od początku jest kostiumowo: mrocznie i brudno.

5. Wtorek. Lodowaty wiatr. Młodziotka kasjerka wielkiej urody o włosach koloru blond jak w piosence Kossovskiego. Z biletem wchodzi na przeszkłone podwórze-foyer Capitolu. Powietrze faluje. Klując zinnem, wdziera się kłębami pomiędzy biurka i otomany, kanapy i fotele, wieszaki i poduchy. Foyer niczym nie pachnie, choć na drugim planie widać kawiarkę. Ochroniarz w ciemnej marynarce zczytał się, siedząc na kanapie z wysokim oparciem. Panna z bufetu gdzieś przepada. Przysiadam na chybotałej kanapie przy szklanych drzwiach. Książki. Reklamy. Szepty.

Zegarek podpowiada czas zejścia do podziemi. Widownia stroma, skromna. Ściany oplecione czarnymi kratownicami. Scena w półmroku ledwie naszkicowana niczym rysunek Janka Kozy. Głos z offu – nieskutecznie, jak się okaże – uprasza o włączenie telefonów. Środek przestrzeni przecina pień rozdartego drzewa, zapewne trafionego piorunem w finale dziejów *Balladyny* – sadystrycznej królowej pokaranej gromowładną ręką Opatrzności. Pień przeszkadza aktorom. Niczego nie wspiera. Niewiele symbolizuje.

Na proscenium tandetny blat wypełniając zabawkowe instalacje z patyczków, bawiące Fon Kostryną, lampa biurowa, tablet, z którego na żywo korzysta scenograf, bukiet suszonych kwiatów czy ziół – trudno rozpoznać, lalka *porte parole* bohaterki, mikrofon. Obok kilka krzesel, stos desek. Na podłodze szybko brudzące się folie. Fotel zamiast tronu. Z boku wielokrzątek z łańcuchami na trójnogu nad mikro-basenem – czasem szubienica, czasem substytut przeznaczenia, niekiedy topiel i mykwa. W głębi wielki obraz Beaty Rojek, szaro-czarne mazy, za którymi nie wiadomo co. Całą tę estetyczną prowizorkę skleja mocna, rytmiczna muzyka i songi Kubu Suchara.

6. Postaci dramatu prześlizgują się po intrydzie oryginału. Z pięciu aktów dramatu dostajemy niespełna sto dwadzieścia minut – w tym piosenki, skecze komiczne i myjnie bezdotykową. Ponieważ ani świat magiczny, ani anegdotyczny nie ma w opowieści Agnieszki Olsten – jak się zdaje – większego znaczenia, opowiesć układa się pod czas niezborną grę o tron – kolejni pretendenci do władzy zostają wyeliminowani zazwyczaj podczas umizgów, więc *Balladyna* dostaje koronę, nawet gdy nie bardzo ma kim rządzić, co – w jakiej mierze – spełnia anegdotę z prologu Słowackiego o ślepym harfarszu. Sprawowanie władzy bez miłości ludu ma podobny sens jak śpiewanie pieśni morskim falam.

Żeby ogarnąć całość, zacytujmy autora: „Niech naprawiać wszelkiego bezprawia Kirkor pada ofiarą swoich czystych zamiarów; niech Grabiec miłuje kuchnią Kirkora; niechaj powietrzna Gopłana kocha się w rumianym chłopie, a sentymentalny Filon szuka umyślnie męczarni miłosnych i umarłej kochanki; [...] *Balladyna* wbrew rozwadze i historii zostanie królową polską – a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błysnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości”.

Wiemy zatem od początku, że kochać *Balladyna* nie umie, a w stosunkach międzyludzkich jest – jak mówią polityczni hejterzy – zimną suką. Cynizm, wyrachowanie, brak skrupułów pozabawiają ją człowieczeństwa. Odcujemy z potworem z odmiennej galaktyki – powiedzmy, że to *Seksmisja* w stylu *Lowcy androidów*, ale po scenie walki Deckarda z Battym, z sufitu bowiem zwisają poprzerywane gumowe rury, a cała przestrzeń wydaje się solidnie poturbowana.

Okruchy tekstu nie budują charakterów postaci, stąd nadmiar niewytłumaczalnych póż i grymasów. Aktorstwo powierzchowne dominuje nad psychologią.

Balladyna Agnieszki Kwietniewskiej nosi swoiście militarny kostium – coś na kształt safari z czerwonym orlem, który, skądinąd, przybrał format nietoperza i zwiśa, miast fruwać. Krótko ścięte włosy ów militarizm podkreślają podobnie jak niezwykle ekspresywne ruchy – przysiadu traumatyczne i półmłotki erotyczne (te ostatnie w scenach zbliżeń z Grabcem). Prowadzenie postaci niemal obok wypowiadanego tekstu sprawia, że z jednej strony doceniamy kunsztowną dykcję niedoszłej heroiny, z drugiej odnosimy wrażenie, iż nic już nie zdarzy się pomiędzy słowami. Wszystko – miłość siostry, pogarda wobec matki, uleganie żądrom – zda się okrutną przygodą ciała, nie psyche.

Unieruchomiony przez ciasnotę i bałagan scenografii przepada czar magicznego świata Goplany, znika predestynacja i los. Jezioro zmienia się w zamulony basenik myjny ręcznej. Natura karleje do rozmiarów zasuszonego wiechcia ziół. A istota magii – przeistoczenie, to jedyny element niezwykle w spektaklu. *Otóż* nagie ciało Justyny Antoniak pokrywa *body painting* – jakby woda wypełniła ciało nymfy po krawędź ust. To piękne, świetnie zrobione, zwłaszcza że piękna jest nagość aktorki *sauté*. Cóż, kiedy ów sensualizm skamieniał przycumowany do krzeselka z boku stołu. Gopłana nie rusza się od stołu do dziewiędziesiątej ósmej minuty, pominąwszy leciutkie obroty głowy ku widowni. Mogłaby być zastąpiona erotycznym manekinem i głosem z offu – tyle w przymusowej interpretacji Antoniak żywiołu na scenie.

Grabca gra Konrad Imiela. W zbyt obszernej marynarce z lumpeksu, zeszlajanych pumpowatych spodniach i pstrokatej koszuli ów pośrednik pomiędzy obu światami – Goplany i *Balladyny* – jako żywo przypomina mieszkającego schroniska, który wyrwał się na alkoholową przepustkę, nosząc dla uciechy fryzurę w ciekawym stylu. Piotr Fronczewski mawiał: „wichura na dworze”. Mniejsza o przyniooty ciała i kostiumu. Intryguje wszakże trywialny erotyzm Grabca, kompletnie odartego w tej inscenizacji z szekspirowskich przecieź koneksji. Imiela, w mgnieniu oka dając popis aktorskiego talentu, bo to umie, przedko popada w dwie maniery – bywa skamieniałym mędrcem Rodina albo też nadpobudliwym Disneyowym pasikonikiem, podtrzymującym gatki, jakby mu się chciało do toalety, co zapewne miało wyrażać chutliwość rżężącej po gonitwie po zasczeniu postaci.

Alina w interpretacji przekonującej warsztatowo Ewy Szlemo – ofiara mordu za dżban malin, który dał w konkursie o rękę Kirkora królewski tytuł *Balladynie* – jakby zstąpiła z kultowego plakatu *Zupa była za słona* kampanii *Przewrócić przemoc domową* z 1997 roku. Trudno to komentować i osadzić w Słowackim. Z kolei przejmujący dialog *Balladyny*-królowej z sądzoną na śmierć matką Olsten zmieniła w zblazowany monolog królowej. Paradoksalnie to jedyny moment, w którym Kwietniewska zdejmuje wszystkie maski i staje się kimś z nas. Serce zamiera. Raz czy dwa przekonuje Fon Kostrym Błażej Wójcika, który szczęśliwie przez większość spektaklu milczy. Gwieżdnowojenna złota maska Kirkora na Adrianie Bący jest zabawna, ale całkowicie *out sources*. Wydarzeniom i postaciom towarzyszy, rysując bagrołowate historyjki i napisy, Olaf Brzeski, autor scenografii. Basquiatem jednak nie jest.

Sporo hałasu o nic. Polski – czego chciał Słowacki – naprawdę tu nie odnajdziecie. Ani przeszłej, ani teraźniejszej.

7. Długo szukałem klucza do przedstawienia Agnieszki Olsten. Konwencja „niech się dzieje, co chce, byle się działo” mogłaby funkcjonować na warsztatach terapii zajęciowej. W teatrze jednak się nie sprawdza. Oczywiście, można wydrukować w domu kartki z wywiadem z reżyserką i wyluskiwać ze skreczowanych tekstów Wyspiańskiego i Słowackiego sensy, by – z egzemplarzem *Balladyny* w rękę – odnosić je do planu całości. Można tropić, penetrować, dociekać, tylko że wówczas nie widać, co dzieje się na scenie. Z kolei, gdy oglądamy ów cyberpunkowy komiks o polskiej Lady Makbet, która nie jest Lady Makbet tylko niezbyt seksowną Cindy Campbell w myjni samochodowej, nie uchwyćmy sensów Słowackiego, o Wyspiańskim nie wspominając.

Zapewny jest to *Balladyna* autorska o tym, że ludzie źli dominują w polityce, a władza – zmywający brud moralnych fantazji – winna być transparentna. Odważne i sensowne. Tę wykładnię wzmacnia świetnie recytowane przez Agnieszkę Kwietniewską Uspokojenie i obmywanie myjką ciśnieniową galeję-korony-piorunu. Insignia dumy mogą się stać symbolami pogardy i groteski – podpowiada Olsten.

Gdyby to jeszcze dało się wydedukować z zachowań scenicznych i tekstu dramatu, a nie z wywiadów i recenzji apologetów.

BALLADYNA, REŻ. AGNIESZKA OLSTEN, TEATR MUZYCZNY CAPITOL WE WROCŁAWIU

ZOBACZ WIĘCEJ

Teatr Muzyczny Capitol

Juliusz Słowacki

Balladyna

reżyseria: Agnieszka Olsten

adaptacja tekstu: Tomasz Jękot, Silvermoon & Willow

muzyka: Kuba Suchar

scenografia i kostiumy: Olaf Brzeski

reżyseria światła: Robert Mleczko

autorka obrazu: Beata Rojek

obsada: Justyna Antoniak, Agnieszka Kwietniewska (gościnnie), Ewa Szlemo, Artur Caturian, Konrad Imiela, Adrian Kąca, Błażej Wójcik, Olaf Brzeski

premiera: 10.02.2017

TAGI: Juliusz Słowacki, Agnieszka Olsten, Wrocław, Teatr Muzyczny Capitol

Udostępnij

SKOMENTUJ

Autor lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania: siedem minus cztery jako liczbę:

KOMENTARZE (5)

Alleja | 2019-02-27 08:33:55 99 Cytuj

Przeczytanie tej recenzji było całkowitą stratą czasu - treść żenująca.

Anna | 2017-04-03 21:52:33 99 Cytuj

kolejną już recenzją, w której w szczególnie sposób zwraca pan uwagę na kobiecie wdzięku. Właściwie to głównie na nie... Co do dekonstrukcji dramatu nie trudno się z Panem nie zgodzić. Natomiast zapominał Pan wspomnieć w swojej recenzji o Arturze Caturianie, który wydaje się być obiecujący. Nie zgadzam się co do krytycznej oceny atmosfery panującej na Podwórku Capitolu. Proszę przyjść w jakiś czwartek, godzinę lub dwie przed spektaklem. Proszę zabrać książkę lub coś do słuchania... Gwarantuję, że będzie Pan wracał tam co tydzień by odpocząć. To bardzo przyjaźnił mejece.

jkc | 2017-02-26 17:09:19 99 Cytuj

a kiedyś to była nawet zdolna dziewczynka (ostatnio próbowałem rękę podać), ale zaraz Nowak, Mieszkowski, Nowak i ziuuu (dziś bolszewia wrocka ma Rado Wiśniewskiego, mordoklejkii i... kicz?)

Rado Wiśniewski | 2017-02-24 15:23:31 99 Cytuj

Czy to ten recenzent co doradza Morawskiemu? Pewnie czeka na premiery w Polskim. Będzie miał Morawski swego człowieka wśród wrocławskich komentatorów.

półka z recenzjami | 2017-02-24 15:18:07 99 Cytuj

Oj niedobrze z samopoczuciem recenzenta Portalu Teatralnego skoro krytykuje recenzje koleżanek i kolegów. Jemu nie stykło, a wiadomo, że tylko on ma rację, więc dalekiej Ej, portalu, czemu pozwalasz na to?